

Turystyka ze łąką w oku

Po przejściu na emeryturę zyskujemy wreszcie czas dla siebie. Możemy zająć się tym, co lubimy i realizować dawne marzenia. Tak też i ja zrobiłem. Po latach pracy w ogrodzie, gdy już fizycznie nie dawałem rady, postanowiłem bliżej poznać atrakcyjne tereny kraju. Do takich rejonów należy Dolny Śląsk – województwo z tzw. Ziemi Odzyskanych.

Od wcielenia ich do Polski w 1945 roku przeszły wiele kataklizmów. Pierwszy przyniosły wyzwolicielskie wojska radzieckie, które ogołociły zakłady i infrastrukturę z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość i wywiozły do Rosji. Drugi – polscy szabrownicy, wywożąc przedmioty i urządzenia mające znaczenie dla codziennego życia (mam kilka takich odkupionych przez rodziców). Trzeci, najbardziej wytrwały, to czas, który upływa i coraz bardziej przyspiesza w swoim destrukcyjnym działaniu.

Każde zwierzę dba o swój dobytek i schronienie. Człowiek – niekoniecznie. Mimo że różni go od zwierząt „rozbudowana” kora mózgowa, postępujemy zgoła inaczej. Szczególnie nie dbamy o to, co dostajemy gotowe do ręki. „Łatwo przyszło, łatwo poszło” – powiedzenie ciągle aktualne. Dolny Śląsk jest tego przykładem.

Widziałem ten teren kilkakrotnie. Pierwszy raz w okresie stagnacji, a nawet delikatnej rozbudowy (głównie za PRL-u), kiedy władzy zależało na pokazaniu „dbałości” o te tereny niemieckim wysiedleńcom odwiedzającym swoje dawne posiadłości. Niestety, od kiedy „pieniądz” objął w Polsce władzę, zaczęło się najgorsze. Najpierw upadły nierentowne zakłady i kopalnie. Potem obiekty towarzyszące, których nikt nie utrzymywał. Brak pracy wypędzał młodych, a ich ubożający rodzice przestawali dbać o swoje dobro i widać, jak ono niszcze.

Część domów się rozsypuje, inne są opuszczone i zrujnowane. Niektóre były kiedyś pięknymi, niekonwencjonalnymi budynkami (np. w Nowej Rudzie). Zupełnym ewenementem są pałace po rodach niemieckich obszarników. Są niemal w każdej, nawet małej miejscowości – i prawie wszystkie zdewastowane. Wyeksploatowane przez PGR-y, szkoły, urzędy – dziś czekają na ostateczną rozsypkę lub rozbiórkę. Odwiedziłem kilka (można je zobaczyć tylko z zewnątrz) – są w tragicznym stanie. Jest też kilka zamków, kiedyś bardzo dużych, teraz również w ruinie. Odrestaurowany zamek Książ czy Czocha wiosny nie czynią wobec tej degradującej się reszty.

Zupełnym „gwoździem programu” dewastacji jest miejscowość Sokołowsko – miejsce, gdzie wybudowano pierwsze w Europie sanatorium leczące chorych na gruźlicę. Byłem tam w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Perełka – małe, ruchliwe miasteczko

z pięknym, dużym sanatorium. Ten neogotycki budynek robił ogromne wrażenie. Wokół zadbane zaplecze, całe miasteczko tętniło życiem. Odwiedziłem je kilkanaście lat temu. Nie leczyło się już gruźlicy w sanatoriach, a z dawnego Sokołowska prawie nic nie zostało. Straszło wielkie zdewastowane gmaszysko i rozpadające się domki dawnych pracowników. Byłem ponownie – ale nic się tam nie zmieniło. W tym roku nie pojechałem, żeby nie widzieć dalszej dewastacji.

Co było budujące? Bardzo dobry stan Jedliny-Zdroju. Kiedyś mieliśmy tam jako szpital skierowania na leczenie poszpitalne. Sam nie znałem tej miejscowości – postanowiłem ją obejrzeć. I dobrze. Wiele pozytywnych wrażeń po smutnych obrazach z Głuszycy, Sieniawki czy Walimia. Zabudowania, otaczająca zieleń, park zdrojowy – wszystko robi dobre wrażenie. Oby tak dalej, choć dawny boom na leczenie sanatoryjne przemija. Brak kuracjuszy to brak pieniędzy i początek zaniedbań.

W trakcie jednej z tras trafiliśmy na restaurację o nazwie „Oberża z PRL-u”. Potrzeba uzupełnienia kalorii i mój sentyment do czasów, gdy wszystko było o „niebo” lepsze – nauka, kultura, żywność, produkty – spowodowały, że zjedliśmy tam obiad. Powiem – za tani nie był, ale pyszny i obfity. Połowę zabraliśmy i mieliśmy obiad na następny dzień.

Boleję nad tym, co się dzieje na tych terenach. Ziemie Odzyskane (tym razem Karpacz) były miejscem, gdzie pierwszy raz zobaczyłem góry – i wszedłem na Śnieżkę. Podobnie jak Mrzeżyno – moje pierwsze morze. Nie był to Hel ani Zakopane. Może stąd ten sentyment i ta boleść.

Na szczęście Pomorze wypada lepiej. Czasem tylko jakiś zdewastowany zakład straszy ruiną, ale budynki mieszkalne są zwykle zadbane. Młodzi nie uciekają tak masowo, a tereny rolnicze są dobrze uprawiane. W górach trudniej o taką stabilność.

Świnoujście, Międzyzdroje, Kołobrzeg – wciąż odwiedzane przez potomków dawnych właścicieli. Pensjonaty i sanatoria cieszą się powodzeniem – tańsze niż w Niemczech, przy podobnych warunkach. Te miejscowości rozbudowują się intensywnie – czasem zbyt ekspansywnie, kosztem klimatu miejsca. Nie jest to właściwe, ale *pecunia non olet* – po 1990 roku to motto zdominowało wiele działań.

Planeta się broni. Niestety, władze i my – mieszkańcy – zachowujemy się beztrosko, powodując zmiany klimatyczne. Co dalej? Zobaczymy. Oby hasło „po nas choćby potop” wreszcie przestało obowiązywać. Do czego to doprowadzi? Ja, na szczęście, tego nie doświadczę – ale następne pokolenia są poważnie zagrożone.

Krzysztof Papuziński – senior optymistą

